



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.

Pożegnanie jaskółek.



Żegnajcie jaskółki!.. czas bliski rozstania,
Daleko do celu, daleko —
Już jesień was z letniej gościny wygania,
Więc lećcie pod Bożą opieką!..

Przed wami pustynie i morza i góry —
Spoczynek nie rychło was czeka,
Żegnajcie jaskółki, pieszczochy natury,
Skrzydłata ty drużbo człowieka!

Tu zima wnet spadnie i śniegi i grudnie
I ciężkie się chmury przywloką —
Tam niebo jaśniejsze, cieplejsze południe
I słońce weselsze ma oko!..

Wy lećcie swobodnie!— nam strzecha rodzinna
Wystarczy za nieba lazury —
U ognisk domowych nie straszy nas zima,
Ni wichur z północy ponury.

Więc lećcie spokojne o gniazda tu wasze; —
Z powrotem będziemy wam radzi,
Gdy, wiosnę przynosząc, spadniecie w poddasze,
A teraz... niech Pan Bóg prowadzi!

M. Gawalewicz.



M. Tyska.

Obrazy z dziejów piśmiennictwa polskiego.

POEZJA ŚREDNIOWIECZNA

PIEŚNI ŚWIECKIE I RELIGIJNE. —

Roczniki, kroniki i Długoszowe dzieje, to najważniejsze zabytki średniowiecznej prozy. Twórcy jej posługują się wyłącznie łaciną, początkowo z prostej konieczności, jak to wyżej zaznaczyłam, potem dla mody, dla przyjętego obyczaju, oraz z powodu zupełnego niewyrobiaenia mowy rodzinnej. Język polski jest w czasach onych narzędziem zbyt jeszcze grubym, zbyt nieokrzesanym, by do pisarskiej pracy mógł zachęcić. Nie posiada on ustalonych prawideł gramatycznych, nie posiada wyrobionej pisowni, nie rozporządza nawet swym własnym alfabetem. Łaciński, z 24 liter złożony, nie obejmuje bowiem wszystkich dźwięków mowy naszej i nie posiada znaków na ich wyrażenie.

Brakom tym pragnął zaradzić w XV wieku pierwszy gramatyk polski Jakób Parkosz z Żurawicy, rektor krakowskiej akademii, który w rozprawie po łacinie napisanej, podawał niektóre prawidła polskiej pisowni. Nie pomogła jednak wiele ni rozprawa owa, ni wiersz do niej dodany:

„Kto chce pisać doskonale
Język polski i też prawie,
Umiej abecadło moje
Którym tu napisał tobie.

Bo w niem każde słówko tobie
Pismem różny głos da sobie
Pisz je w imię Boże tako,
Iżem ci napisał jako.

Pisarze średniowieczni krótszą obierali drogę. Zamiast się z trudnościami gramatyki i ortografii polskiej łamać, woleli je omijać poprostu, usuwając na bok język ojczysty.

Pomimo więc usilnych poszukiwań badaczy, bardzo niepozornie przedstawiają się polskie zabytki piśmiennictwa naszego, przed XVI wiekiem powstałe. A i to, co jest, szczęśliwym jeno trafem do rąk naszych doszło. Utwory bowiem w pospolitej, codziennej mowie powstałe, lekceważył ówczesny świat uczony. Pozostawiano je kobietom jeno lub też prostaczkom, nie wcielając do kościelnych i klasztornych księgozbiorów, w których łacina panowała niepodzielnie. Często bardzo spotykało je zniszczenie i zatrata.

Przekład pacierza, króciutkie kazania, wreszcie tłumaczenia Pisma Świętego oraz zbiorki modlitw dla królowych lub księżniczek, przez księży pobożnych układane — oto wszystko prawie co w zakresie prozy posiadamy.

Z poezją jest lepiej i nic w tem dziwnego.

Poezja jest tem dla duszy ludzkiej, czem śpiew dla ptaka. Ona z tą duszą razem się rodzi; ona jej najserdeczniejsze bóle i radości opowiada a do tej opowieści cudzoziemska mowa nie wystarczy. Uczony, dobierający pomału i z rozwagą w pracowni swej wyrazy i zdania, może je w obcym języku dobierać. Poeta musi po swój własny sięgnąć, jeśli chce śpiewać szczerze od serca.

Mówiąc jednak o średniowiecznej poezji, nie mierzmy jej miarą dzisiejszą. W czasach, o których wam opowiadał, niema dzieł wielkich, natchnionych — są tylko skromne piosenki i pieśni, których

forma nie wyszukana, rymy często kulawe. Zbliżyć się jednak do nich warto. One bowiem są pierwszym ogniwem w tym wielkim łańcuchu dzieł cudnych, który przez następne wieki poeci nasi snuć będą.

Lud polski śpiewał chętnie. Pieśni jego kwitały, jak kwiaty na wiosnę. Nie wiedziano częstokroć, kto je składa. Rodziły się bezimiennie, potem ginęły zapomniane, innym miejsce ustępując. Kronikarze XVI wieku zachowali nam po dziś dzień urywek pieśni, którą czczono radośnie wjazd Odnowiciela:

„A witajże nam witaj, miły gospodynie.

Im też zawdzięczamy przetrwanie kilku początkowych wierszy śpiewu, Witoldowi poświęconego:

„Witold idzie po ulicy,
Za nim niosą dwie szablidy.”

W całości zachowała się aż po nasze czasy pieśń, opowiadająca o smutnym końcu możnego ryceza, Andrzeja Tęczyńskiego.

Bo Tęczyński, rozgniewany na płatnerza Klimeta, który mu zbroi na czas nie wykończył, znieważył go uderzeniem. Oburzony tem mieszczaństwem krakowskie zabiło butnego magnata. Poeta, zgon jego opiewający, znać był mu przyjaznym, bo oto utwór swój od tych słów zaczyna:

„A jacy to źli ludzie mieszczenie krakowianie,
Żeby pana swego wielkiego chorągiewnego,
Zabiliście chłopi, Andrzeja Tęczyńskiego,
Boże się go pożałuj, człowieka dobrego,
Że tak marnie zszedł od nierównie swojego.

Do najdawniejszych a zarazem najciekawszych utworów rymowych tego okresu, należy wiersz o zachowaniu się należytem przy stole. Autor rozpoczyna go od pokornego wezwania:

„Gospodnie *) daj mi to wiedzieć
Bym mógł o tem co powiedzieć
O chlebowym stole.”

I dalej o tym stole tak prawi:

„Zgarnie na się wszystko pole,
Co w stodole i w tobole,
Coli się na niwie wiąże,
To wszystko na stole leże,
Przetoć stół wielki — swieboda,
Staje na nim piwo i woda
I k'temu mięso i chleb
I wiele innych potrzeb,
Podług dosta!ku tego
Kto li może dostać czego.

A potem dodaje bardzo słuszną uwagę:

Z jutra wesół nikt nie będzie,
Aliż gdy za stołem siędziej,
Toż wszego myślenia zbędzie.
A ma za stołem sieść
A przytem ma się najeść.”

Z kolei następuje krytyka:

Siędziej za nim jako wół,
Jakoby w ziemię wetknął kół,
A pełną misę nadrobi,
Jako ten, co motyką robi,
Sięga w misę przez drugiego,
Szukając kęsa lubego.

*) Panie.

A więc:

Małe kęsy przed się krajcie,
Ukrawaj często a mało
A jedz, byleć się jeno chciało.”

Na zakończenie autor po raz wtóry zwraca się do Boga, tym razem nazwisko swe wymieniając:

„Toż miły Gospodnie mój
Słota, grzeszny sługa twój
Prosi na to twej miłości,
Udziel nam wszem swej radości.”

Kim był ten Słota, tak wyraźnie w ostatnich wierszach nazwany, nie wiemy. Nic bliższego nie powiedział nam o sobie. Zostawił jeno w utworze swym pamiątkę wytworności średniowiecznej i zamiłowanie gładkich obyczajów.

(d. n.)

M. Dynowska.

PSIE POLE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA DLA MŁODZIEŻY

przez

Włodzimierza Trąpczyńskiego.

(Dalszy ciąg).



tojącemu na łódce-łupinie Dobkowi ukazały się za chwilę nogi Kruszyńki, który widocznie szamotał się, ażeby mógł wydostać się na zewnątrz. Jakie męki przechodzić musiał biedny kaleka, poznać było po jękach, sapaniu ciężkiem i szarpaniu gwałtownem, co wszystko słyszał i widział Dobek. Chłopiec odetchnął dopiero, gdy po długiej męce z jednej strony, a długiem oczekiwaniu z drugiej, ukazał się nareszcie dolny korpus Kruszyńki. Nieszczęśliwy wisiał zupełnie w powietrzu.

— Tu jest otwór w murze, zaczeń nogę — objaśniał Dobek i sam dopomagał Kruszyńce w wyprostowaniu nóg. — A trzymaj się mocno sznura.

Biedny więzień spełniał te rozkazy posłusznie, ale siły zaczęły go już opuszczać. Dobek też słyszał, jak dyszał ciężko i jęczał.

— Ciszej, na miłość boską — rzucił syn Maćka — gotowi jeszcze posłyszec, a wtedy zginiemy obaj.

— Nie mogę, nie mogę — ze łzami w oczach odpowiadał Kruszyńka — chyba już uduszę się i umrę w tych kleszczach żelaznych.

— Jeszcze tylko jeden wysiłek zrób, mój drogi, kochany braciszku — zaklinał Dobek, a drżał przytem nietyle o los własny, jak o los młodego więźnia.

Kruszyńka odpoczywał chwilę, jak gdyby zbierał siły, oddech jego stawał się coraz równiejszy, co dodało otuchy niecierpliwie oczekującemu Dobkowi. Wreszcie syn Maćka spostrzegł, że chłopiec wypreżył się, targnął rozpaczliwie i przesunął garb przez otwór w kratkach. Za garbem ukazała się wkrótce głowa. Zwolna, niepewny zupełnie siebie i jakgdyby oślepiiony widokiem wody i nieba, Kruszyńka opuszczać się zaczął po linie, aż dosięgnął nogą krawędzi łódki.

— Ostrożnie — przestrzegał Dobek — tu niema miejsca dla dwóch, ja więc wskoczę teraz do wody, przytrzymam łódkę, a potem popłynę do brzegu, ty zaś usiądź i weź wiosło do ręki.

Nic nie mówiąc, spełnił Kruszyńka wszystkie rozkazy i dopiero, gdy już siedział w łódce, zapytał:

— W którą się mam kierować stronę?

— Przedewszystkiem trzymaj się sitowia i broń Boże nie wypływaj na pełne jezioro, tam dostrzeżono cię natychmiast. Dopiero odjechawszy spory kawał, skręć na lewo, a płyn wtedy szybko, z wyłączeniem sił wszystkich.

— A gdzie się spotkamy? — bąknął jeszcze Kruszyńka.

— W Mielźynie. Dobrzy ludzie wskażą ci przecież drogę.

Nad ucieczką Kruszyńki czuwała widocznie szczególnie jego gwiazda i ona wiodła wątlą łódkę-łupinę wśród przeszkód, które piętrzyły się na każdym kroku. Chłopiec czuł, że ukrywać się trzeba, wciskał się więc pomiędzy szuwały, to znów wypływał na chwilę, bacznie zwracając oczy na niebo, które, jak gdyby chciało przyjść w pomoc małemu zbiegowi, pokryło się ciemnymi chmurami i tylko od czasu do czasu ukazywał się rąbek księżyca, który oświetlał na chwilę potężne jezioro, ażeby znów zniknąć na długo.

Dobek, który z największym trudem przeprawił się do brzegu, długo patrzył za odpływającym, a kiedy łódka nareszcie znalazła się tak daleko od wieży, że nie dobiegłby pocisk rzucony z góry, odetchnął głęboko i z ulgą.

Oboje, Dobek i Brysia w pierwszej chwili czuli się nadzwyczaj szczęśliwi, że plan się powiódł i że rozbawiona straż wieżowa pozwoliła się wywieść w pole, kiedy jednakże Brysia objęła myślą skutki, jakie stąd wyniknąć nie tylko mogą, ale muszą, trwoga opanowała młode i nierozważne dziewczę.

— Zrobiliśmy źle — rzekła przez łzy — Kruszyńkę naraziliśmy na nieopisane niebezpieczeństwa, ojciec zaś mój srodze odpowiadać będzie musiał za ucieczkę więźnia, na którego szczególniejsz zwrócone są oczy wojewody.

— Nie podzielam obaw twoich — uspokajał Dobek — najpierw bowiem stało się to pod nieobecność Wincza, a powtóre z kądże on może wiedzieć, że ty, Brysiu, przykładając się do tej ucieczki pomocną ręką swoją.

— Domyśli się łatwo. Nie umiem kłamać, po rumieńcach pozna prawdę.

— Czyżbyś żałowała — ze smutkiem zapytał syn Maćka — Czy wolałabyś, ażeby biedny, wątlý Kruszyńka, który niczem nie przewinił ani przeciw panu naszemu, Władysławowi Hermanowi, ani też przeciw wojewodzie, zgnił w tych lochach, lub co najmniej wyszedł złamany, znękany na całe życie?

— Ale jakież cel ma ta ucieczka? — zawołała Brysia.

— Jaki cel? — zamyślił się na chwilę Dobek i potem rzekł z niezwykłą mocą: — Kruszyńka przedewszystkiem dotrzeć powinien do Mielźyna, powinien też wszystko opowiedzieć braciom naszym, a oni poruszą rycerstwo, dotrą do tronu, wymogą ulżenie niedoli.

— Czy sądzisz, że ogół rycerstwa nie dowiedział się jeszcze o niczem? Czy sądzisz, że królewicz Bolko nie dotrzyma przyrzeczenia? A jeżeli Kruszyńka zbłądzi w drodze, jeżeli dostanie się w ręce łotrów, to cóż stanie się wtedy? Naraziliśmy jego, naraziliśmy siebie.

— Zdajmy się na wolę Bożą! — wybuchnął porwczó Dobek. — Niechaj się stanie, co się stać ma, w sumieniu swoim jesteście czysti.

Pomimo, że syn Maćka nadrabiał fantazją, nie było mu jednak wesoło na duszy, ani też on, ani Brysia nie zmrużyli oka w ciągu nocy całej i oboje



Wejście do grobowców cesarskich w Mukdenie. (p. Ze świata)

z wzmagającym się coraz więcej strachem wyglądali świtu. Co będzie, gdy dozorca, niosąc pożywienie zwykłe, zajrzy do wnętrza celi i przekona się, że posłanie pozostało nietknięte, a w oknie dojrzy otwór, przez który zbiegł więzień?

Jedne i teź same myśli opanowywały Dobka i Brysię, oboje teź zerwali się równocześnie na nogi, gdy jeszcze o bardzo wczesnej porze, zanim w wieży ruch zwykły się zaczął, na dziedzińcu zadęto w rogi.

— Wykryto już ucieczkę — jęknęła Brysia w swojej komnacie i jak gdyby uciekając przed niebezpieczeństwem, schowała głowę pod nakrycie.

— Bądź mężny! — mówił Dobek sam do siebie i ubierać się zaczął pośpiesznie, ażeby być w pogotowiu na każde wezwanie.

Zadęto w rogi po raz drugi i po raz trzeci, Dobek teź wyrzwał na dziedzińiec, chcąc przyjrzeć się wszystkim przygotowaniom. Zdumiał się jednak wielce, gdy spostrzegł, że tam na dziedzińcu inny zupełnie ruch zapanował, aniżeli ten, jakiego się spodziewał. Nikt nie śpieszył do lochów, przeciwnie kto żyw pędził ku bramie.

— Schwytali Kruszynekę — pomyślał Dobek i bezwładnie opuścił ręce, a trwoga opanowała go tak wielka, nie o los swój, lecz o los brata przybranego, że nogi drżały pod nim, a pokój cały wiorować zaczął przed oczami.

— Bądź mężny, Dobku — powtórzył wreszcie po raz drugi i zebrawszy wszystkie siły, z podniesioną hardo do góry głową, otworzył drzwi, gotów iść na największe męki w obronie Kruszyнки.

— Co się tu stało? Co znaczą te rogi o tak wczesnej porze? — zagadnął pierwszego z brzegu znajomego wartownika.

— Goniec królewski się zbliża — odparł zapytany i popędził za drugimi ku bramie.

Inny człowiek z załogi także nie mógł żadnego więcej dać objaśnienia, więc Dobek pociągnął przez dziedzińiec, ażeby przyłączyć się do gromady. Po drodze zaś rozmyślał, że przecieź goniec królewski nie może chyba nic mieć wspólnego z ucieczką Kruszyнки, który w tej właśnie chwili może dopiero zdążył przepłynąć Gopło.

— Czy ten goniec jeszcze daleko? — zapytał ponownie.

— Widać go już dokładnie, pędzi co koń wyskoczy, niezadługo już zbliży się pod górę, wiodącą do zamku.

— Cóż to ma oznaczać? — docierał coraz dalej do prawdy Dobek, ale otrzymał odpowiedzi, które nie zaspakajały wcale tej jego ciekawości.

— Kto to może wiedzieć, co tam wysłaniec królewski nam przynosi? Może nowy napad przygotowuje się ze strony sąsiadów pruskich, może Czesi, Pomorze zagraża nam, może załoga wyruszy na bój? Nic nie wiadomo.

— Czegoż to robić domyśli! — ofuknął jeden ze starszych mężów, siwiejący już, ale zawsze krzepki Jędrak z Grzybowa. — Co każą, spełnimy, a dowiemy się chyba wszystkiego niezadługo.

Na drodze, wiodącej pod wieżę, wzbiły się tumany kurzu, znów zadęto w rogi i w otwartej na ścieżaj bramie ukazało się trzech jeźdźców w lśniących kirysach z wielkimi piórami na głowie, z przyłbicami spuszczone.

(d. c. n.)

Matka Marcelina Darowska.

Przed dwoma tygodniami w klasztorze Sióstr Niepokalanek w Jazłowiec (Galicya Wschodnia) obchodzono uroczyste jubileusz 50-o letniej działalności fundatorki i przełożonej tego zgromadzenia, która położyła wielkie zasługi dla wychowania kilku pokoleń dziewczynek i pańienek.

Pół wieku temu, w 1854 r. przybyła do Rzymu



Na stacji w Mukdenie (p. Ze świata).

(General Kuropatkin, w otoczeniu władz chińskich.)

pani Marcelina z Korczak-Kotowiczów Darowska, młodzianka wdowa i, przywdziawszy szaty zakonne, wystąpiła z zamiarem ufundowania Zgromadzenia PP. Niepokalanek w Galicyi.

Urodzona w 1829 roku, Marcelina Kotowiczówna, córka bogatego ziemianina, od najmłodszych lat żyła gorącą chęcią poświęcenia się życiu zakonnemu. Ale uległszy woli rodziców, poślubiła w 1850 roku Karola Darowskiego, właściciela dóbr Żerdzie.

Kiedy jednak po trzech latach małżeństwa straciła męża i synka małego, postanowiła dawniejszy zamiar w czyn zamienić. Utrwał ją w tych zamiarach rozgłosnej sławy kaznodzieja i pisarz ks. Hieronim Kaysiewicz, a Ojciec Święty Pius IX zatwierdził statut nowego Zgromadzenia, na które fundatorka poświęciła cały swój znaczny majątek.

Taki był początek powszechnie znanego w Galicyi klasztoru pp. Niepokalanek w Jazłowcu. Matka Marcelina za główny cel instytucji religijnej przez siebie utworzonej postanowiła: przygotować zastęp rozumnych matek, nadto nieść pomoc biednym i chorym, uczyć prostaczków i wzmacniać w nich ducha religijnego.

Cel ten w zupełności został osiągnięty. Przy współpracownictwie wykształconych Sióstr Niepokalanek, Matka Marcelina funduje w Jazłowcu wyższy ośmioklasowy zakład naukowy żeński a nadto ustanawia t. zw. „pozafurtowe siostry”, których zadaniem jest stykać się z ludem, uczyć biedną dżiatwę, doglądać chorych, nieść pomoc nieszczęśliwym i t. p.

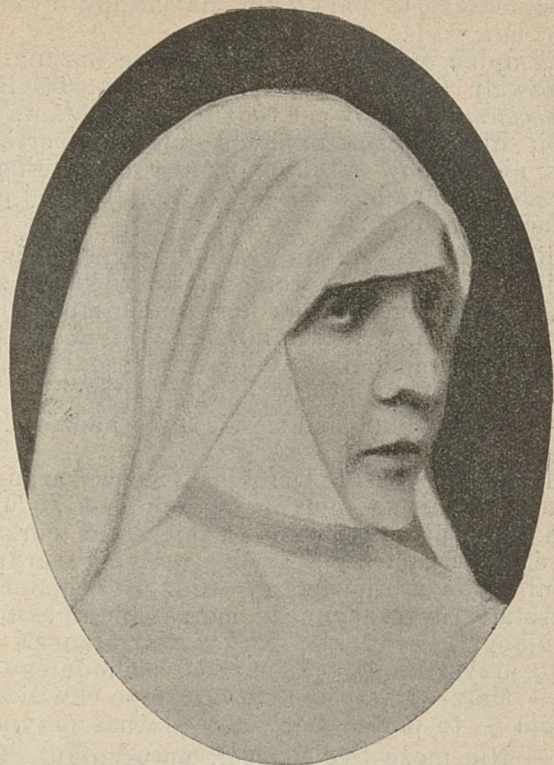
Zbożna praca fundatorki Niepokalanek wydaje wnet obfite owoce i z biegiem czasu znakomicie się rozszerza. Oto w 1875 roku powstaje drugi zakład w Jarosławiu nad Sanem, w 1883 r. w Nizniowie nad Dniestrem, wreszcie w 1897 roku czwarty w Nowym Sączu.

A ten rozkwit dzieje się za sprawą Matki Marceliny, która nad wszystkim czuwa i zyskuje miłość powszechną, a cześć społeczeństwa, podnoszącego jej dobroć, gorliwość, iście apostołski zapach.

Mimo sędziwych lat ukochana Mateczka, jak Marcelinę Darowską pieścizotliwie nazywają, kieruje dotąd sprawami Zgromadzenia z niezwykłą energią.

Jest to istotnie niezwykła i niepospolita niewiasta. Wysoko wykształcona, ma przedziwny dar zjednywania sobie wszystkich, którzy mieli sposobność do niej się zbliżyć.

Nic dziwnego, że półwiekowy jubileusz Matki



Matka Marcelina Darowska.

Marceliny wywołał serdeczny oddźwięk w szerokich kołach i że mnóstwo jej b. wychowanek, które się liczą na tysiące, podążyło do Jazłowca wziąć udział w uroczystościach jubileuszowych, a te, które nie mogły tam podążyć, gorące za nią wznosiły modły do nieba.

Obok portretu jubilatki podajemy fotografię pięknego klasztoru Jazłowieckiego

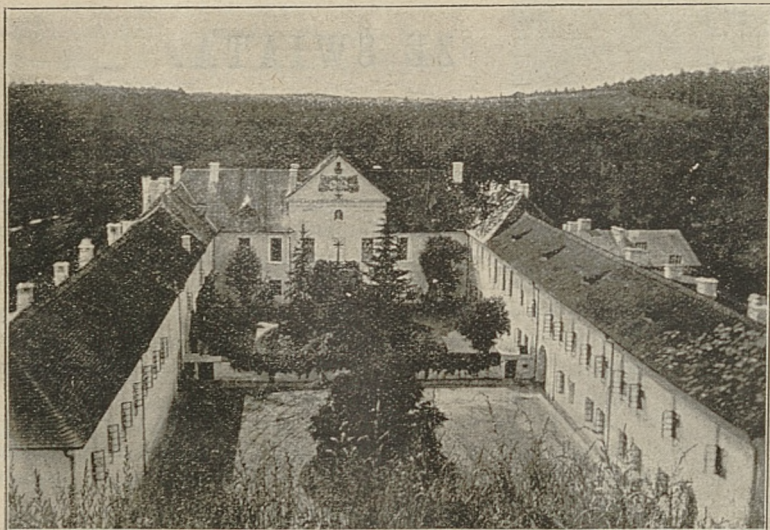


NA ŁASCE OCEANU.

(Dalszy ciąg)

Wśród prowadzonej półgłosem rozmowy towarzyszy Henryk, sam w tej chwili czuwając nad Pawłem, rozmyślał nad losami swojej gromadki; po przebytem dziś niebezpieczeństwie doznawał wrażenia, że dopiero teraz czuje dokładnie całą odpowiedzialność, jaką wziął na siebie wobec towarzyszy. Co z nimi się stanie? Czy długo jeszcze potrwa ta włóczęga po morzu, zanim ich przyjmie jaki łód lub statek gościnnie? Choć welon mgły podniósł się już zupełnie, okrętu żadnego nie było widać na horyzoncie: co poczną, jeśli to potrwa dni kilka? Żywność się kończy, Paweł mający coraz gorzej, a wkrótce zabraknie i słodkiej wody do zwilżania mu ust, spiekłych gorączką.

Dziwnym to było trafem, że upragniony statek, mogący im dać ocalenie, najechać na nich musiał właśnie w chwili mgły, gdy miast ratunku o mało im co nie przyniosł zagłady. Henryk wdzięcznym sercem uznawał cud łaski Bożej w uchronieniu ich tym razem od śmierci, ale co będzie, jeżeli nieopatrzna żegluga przedłuży się jeszcze? Czy dużo podobnych



Klasztor PP. Niepokalanek w Jazłowcu.

niebezpieczeństw napotkają na swojej drodze? czy im się uda wyjść z nich cało?

„Łupina orzecha”, którą w obec bezmiaru oceanu nazwali tak sami zbiegowie, była właściwie małym *yachtem* spacerowym rodziny komendanta kolonii karnej; nie przeznaczona do dalekich morskich podróży, nie byłaby w stanie przetrwać długiego kołatania się po falach, a cóż dopiero, gdyby jej przyszło spotkać się z burzą?

Rozmyślając tak niewesoło, Henryk śledził z niepokojem wschodnią stronę nieba, w której zdawało mu się dostrzegać już na horyzoncie zrozumiiałe marynarzom znaki, wróżące burzę. W tem, ktoś lekko dotknął jego ramienia. Obejrzał się: stał za nim Tomek, najstarszy po nim w całej gromadce.

— Poruczniku! jeśli się nie mylę, nadzieja! Spojrzcie tam.

Henryk poszedł wzrokiem we wskazanym kierunku: za nimi, na samym zachodnim krańcu widnokręgu linia, w której niebo zdaje się z morzem graniczyć, przerwana była dwoma małymi, szarymi obłoczkami. Oba w niewielkiej odległości od siebie miały kształt sterczących z morza pióropuszków, rozwijających się lekko ku górze. Henryk patrzył chwilę, przystaniając ręką oczy od zachodniego blasku.

— Masz słusność — wyrzekł po chwili ze wzruszeniem — to parostatki! Oby dla nas przyjazne!

— Nie może być inaczej, poruczniku! To będą pewno handlowe parowce holenderskie, wiozące rum i cygara z wysp Antylskich. O ile mogłem wnosić z busoli i mapy morskiej, znalezionej tu na dnie yachtu, trzymaliśmy się dotąd stale północno-wschodniego kierunku, powinniśmy więc właśnie znajdować się obecnie na trakcie kompanii handlowej — a przecież okręta na tym bezmiarze oceanu mają powyznaczone sobie drogi, ściśle obrachowane szlaki, których się trzymają, aby nie wchodziły sobie nawzajem w drogę.

— Prawda! jeżeli obliczamy słusnie, gdzie się znajdujemy, to nie powinno nam grozić niebezpieczeństwo spotkania wojennych statków francuskich, a tych tylko możemy się obawiać.

— Sądząc na oko, te statki są jeszcze od nas o trzy godziny drogi, gdybyśmy też tak poruczniku, zmniejszyli jeszcze tę odległość, płynąc naprzeciw? Radbym już uczuł coś pewniejszego pod nogami nad tych kilka skrzypiących desek.

— Ja zaś radbym już jak najprędzej powierzyć Pawelka opiece jakiegoś umiejętnego lekarza — odrzekł Henryk, z dźwiękiem prawdziwego smutku w głosie — on najmniej zyskał na ucieczce z kolonii: tam, byłby miał przynajmniej w szpitalu opiekę i dostatek ochłody. Dobrze więc — dodał otrząsając się z resztek smutnej zadumy — płynimy naprzeciw tych obcych statków; nie mamy nic do stracenia.

Szare pióropusze dymu na horyzoncie stawały się coraz wyraźniejsze, dostrzegalne już nawet mniej bystrym oczom reszty towarzyszy i serca wszystkich wiosłujących uderzyły zdwojoną nadzieją. Już poniżej pióropuszy wychyliły się z za wydętej wodnej płaszczyzny oba dymem ziejące kominy — już czarną linią wyjrzały z niej długie kadłuby statków, z każdą chwilą wynurzając się wyraźniej nad poziom wody.

Porucznik Henryk skinieniem przywołał Tomka do siebie:

— Niepokoi mnie to — wyrzekł, — że obok tych kominów, nie widzę rysującego się profilu masztów i żagli. Parowce kompanii handlowych zwykle są w nie zaopatrzone, aby prócz siły maszyny parowej, móżdż w danym razie korzystać z pomyślnego wiatru.

Tymczasem te statki, naprzeciw których płyniemy, nie są to ani trój, ani dwu masztowce — widzę na nich tylko kominy — to mi się niepodoba.

— Próżne obawy, poruczniku! Są to z pewnością statki holenderskie, zdaje mi się, że już nawet rozróżniam flagę!

— Choćbyśmy próbowali uniknąć spotkania — mówił jakby do siebie Henryk — byłoby to niepodobiestwem: musieli nas już spostrzedz, zbyt szybko odwrót mógłby tylko jeszcze nasunąć im podejrzenie.

— Ale nie ma powodu do żadnej obawy, poruczniku! Tylko w każdym razie powrzucamy kurtki nasze w morze: ten szary, hańbiący ubiór wystarczy, aby nas zgubić, nawet w oczach najspokojniejszych handlarzy kawy i rumu.

— Tak! ale bądź co bądź nie płyniemy tak uparcie naprzeciw tych statków — odległość sama przez się zmniejsza się z każdą chwilą, a ja w każdym razie wolałbym nie wywoływać tak koniecznie spotkania, dopóki własnymi oczami nie rozróżnię wyraźnie barw sztandaru zatkniętego na ich przodzie. Wolałbym nawet, aby nas ominąć mogły, nie zatrzymując.. mam jakoś niedobre przeczucie.

Ster zaskrzypiał, zwrócono łódkę i bez zbyteńgo, mogącego zdradzić pośpiechu, zaczęto usuwać się w bok, z drogi parowcom. Ale niemniej, jak Henryk słusnie zauważył, odległość zmniejszała się z każdą chwilą o tyle, o ile szybszym jest pęd pary od ruchu wioseł. Co więcej, nie pozostawało już żadnej wątpliwości, że łupina orzecha sprostżoną została na dużych statkach, i że one wprost ku nim właśnie zmierzały; rozdzieliły się nawet teraz, aby uciekającej łodzi zająć drogę z ukosa.

Henryk wyteżonym wzrokiem wpatrując się w nie bez przerwy, naraz jęknął i załamał dłońe aż zachrzęściły.

— Francuski sztandar!

— Francuski? — usta tawarzyszy niedoli powtórzyły to słowo z rozpaczą, choć jeszcze z niedowierzaniem.

Wszyscy chroniąc wzrok dłońmi od rażących promieni zachodu, wyteżali go z ostatkiem nadziei i najupartsi chcieli ludzić się jeszcze, ale było to napróżno: parowce były już tak blisko, że gołem okiem rozpoznać można było doskonale trójkolorową flagę, którą powiew wiatru wspaniale wzdymał w tej chwili na ich przodzie.

(d. n.)

ZE ŚWIATA.

Mukden. Jak już wiedzą nasi czytelnicy z poprzednich numerów „Wieczorów Rodzinnych”, działania wojenne na dalekim Wschodzie przeniosły się obecnie w okolice Mukden, dawnej stolicy Mandżuryi.

Gród ten uważany jest przez Chińczyków za święte miasto i otoczony taką samą mniej więcej czią, jak Lhassa w Tybecie przez wszystkich wyznawców Buddy. Owa część Chińczyków dla Mukdenu stąd pochodzi, że tam znajdują się grobowce cesarskie przodków obecnie panującej w państwie dynastyi, a wiadomo przecie, jakim olbrzymiem poważaniem cieszą się w Chinach prochy zmarłych.

Mukden w dzisiejszej swej postaci jest to rozległe i bogate miasto, liczące bez mała 300,000 mieszkańców, otoczone silnym, dwudziestometrowej wysokości murem, zaopatrzonym w 8 baszt nad bramami, prowadzącemi do miasta,

Za murem znajdują się przedmieścia, opasane ziemnymi okopami, a w samym środku miasta stoi starożytny pałac cesarzów, również okolony murem.

Proste, szerokie ulice Mukdenu przedstawiają się bardzo malowniczo i są niezmiernie ożywione.

Oto co o wyglądzie ulic mukdeńskich opowiada jeden z francuskich podróżników:

— Gdy wyszedłem na ulicę i po raz pierwszy spojrzałem na Mukden, widok, jaki rozpościł się przed oczami moimi, zachwylił mnie poprostu. Fronty czyli strony licowe wszystkich domów ozdobione obficie dziwnymi postaciami i fantastycznymi gzemsami, co sprawia, że każdy z nich podobny jest do małej świątyni pogańskiej.

Przed sklepami stopy towarów wschodnich: haftów, bogatych jedwabi, sztucznych kwiatów i parasoli, gdzieindziej zaś widnieją wyroby porcelanowe, srebrne i miedziane, nieoszacowane wazy i cenne tabakierki artystyczne, a gdy dodamy do tego widoku wysokie na 40 nieraz metrów słupy z powiewającymi niby sztandary znakami, suto rzeźbione, z zakończeniami kształtu kuli lub płomienia, otrzymamy barwny obraz ulicy mukdeńskiej, przypominającej bazyry wschodnie lub wspaniałe dekoracje teatralne.

Najbardziej jednak zadziwia obcego przybysza ruchliwe życie tego niezwykłego miasta. Człowiekowi zdaje się, że przeniesiono go do mrowiska. Mężczyźni i kobiety, starcy i młodzież, przedstawiciele wszystkich stanów i wszystkich narodów tłoczą się i przesuwają wszędzie.

Gdy jednakże wyjdziemy z ulic głównych i udamy się w kierunku grobów cesarskich, odległych o parę kilometrów od miasta, ruch zmniejsza się stopniowo, gwar milknie i na stoku góry w pięknym cedrowym parku, gdzie spoczywają cesarze, panuje niezamącona cisza.

U wejścia do ogrodu znajduje się olbrzymia kamienna brama, pokryta niezliczonymi symbolicznymi rzeźbami, a wzdłuż głównej alei parku stoją szeregi zwierząt z kamienia: lwy, moki, dziwacznych kształtów potwory legendowe. Wszystko o razem robi wrażenie zaczarowanego ogrodu, o jakim nam powiadały bajki czarodziejskie.

Z wystawy prac dzieci we Frascati. Pisaliśmy uż przed dwoma tygodniami o zapowiedzianej przez Towarzystwo Dobroczynności wystawie prac dzieci ze szwalni sal zajęć. Wystawa ta udała się znakomicie, prace i roboty yskwały ogólne uznanie, a wiemy, że liczne zastępy naszych zytelników oglądały te zbiory.

Najbardziej jednak zajmowały widzów — same dzieci, które w liczbie kilku tysięcy zbierały się w ogrodzie, urządziły pochody, wykonywały ćwiczenia gimnastyczne, a nadto pokazywały, jak robić wszelkiego rodzaju roboty, których je cza.

Wielu fotografów i amatorów uwieczniało za pomocą aparatu rozmaite sceny z tej wystawy. Jeden z nich: pochód dziewczynek ze szwalni, podajemy dla tych czytelników naszych, którzy wystawy tej widzieć nie mogli.

Jadanie owadów. W czasie wacacji w jednym z pism francuskich ukazał się artykuł omawiający sprawę: dla czego nie jadamy owadów, chociaż ciała ich zawierają dużo części pożywnych.

Jak zapewnia to pismo, paryski kongres przyrodników rozpatrywał w swoim czasie tę kwestyę i zgodził się jednogłośnie, że młode chrabąszcze stanowią doskonałe pożywienie i szczególnie smaczne są w zupie. Z mrówek zaś radzili przyrządzać ciasteczka, do czego należy wybierać czerwony gatunek, jako daleko lepszy od czarnego.

Sławny astronom francuski Lalande (urodzony 1732 — umarł 1807 r.) udawał się zwykle przed obiadem do ogrodu i tam jadał parę tuzinów gąsienic, wybierając naituśniejsze lokazy. Dodawało mu to

apetytu. Na stole jego zawsze znajdował się zamknięty koszyczek, pełen pajaków, o których astronom twierdził, że przypominają smakiem młode orzechy, tak jak gąsienice — migdały. Podróżnicy różnych czasów opisują, że mieszkańcy Peru uważają pewien gatunek gąsienic jedwabnika za największy przysmak. Indianie brazylijscy ogromnie są łakomi na glisty, mrówki i poczwarki. Mieszkańcy Afryki jadają szarańczę.

Pewien Anglik, który wiele podróżował po dzikich krajach, taki ułożył jadospis wykwiutnego obiadu z owadów: Składają się nań następujące dania: 1) Zupa z chrabąszczów. 2) Solone ślimaki. 3) Czerwone mrówki z oliwą i octem. 4) Świerszcze smażone na maśle. 5) Szerszenie na mleku. 6) Paszteciki z gąsienic. 7) Ciasteczka deserowe z pszczoł w miodzie.

Może która z czytelniczek, zajmujących się gospodarstwem, zrobi takie przyjęcie na swoje imieniny?

Zyczymy smacznego apetytu.

Zdania i myśli.

Milczenie.

Zaiste, miłe Bogu jest aniołów pienie,
Ale daleko miłsze człowieka milczenie.

Warunek nietykalności.

Chcesz cało przejść pomiędzy światowym rozruchem
Bądź dla zwierząt człowiekiem, a dla ludzi duchem.

Słowo i czyn.

W słowach tylko chęć widzim, w działaniu potęgę;
Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę.

Uwaga chromego.

Kiedy pierwszy raz wnijdę w jakie zgromadzenie,
By poznać ludzi, zważam pierwsze ich spojrzenie:
Rozsądni naprzód spojrzą na mą nogę prawą,
Głupi naprzód na lewą, którą mam kulawą.

Adam Mickiewicz..



Pochód dziewczynek ze szwalni na wystawie we Frascati.

NITECZKA ARYADNY.

ul. Warszawiak.

Ma	zur	wo	je	z fan	ta	zy
ja	ci	ni	wo	kę	suk	ją
Ma	zur	a	dzie	cap	man	gra
War	z pod	ron	*	wy	to	na
sia	wy	ba	wy	a	w ta	nec
dzie	ro	pan	ko	skra	i	ku
nie	za	den	pod	mi	ją	bi

Z podanych sylab złożyć należy urywek z wiersza Lenartowicza.

SZARADA.

ul. Aes.

Wspak pierwsze każdy zwierz stale posiada,
Drugie stanowi pół kozy lub wazy,
 Wierszom *całego* młodzież zawsze rada
 I odczytuje je po kilka razy.
 Wiedząc jak wszystkim podoba się *cały*
 Jego poezye „Wieczory” dawały.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 39-go.

Szarady: Mi — nos.

Łamigłówki geograficznej:

1) Jukatan. 2) Galicya. 3) Laponia. 4) Tobolsk. 5) Rumunia. 6) Armenia. 7) Szwecya.

Odpowiednie litery tych wyrazów składają nazwę: *Japonia*.

Odpowiedzi Redakcyi.

Zosi Benedyckiej. Nie zdążyliśmy zebrać jeszcze wszystkich żądanych informacji. Wyczerpującą odpowiedź damy w następnym numerze.

Ciekawemu Kaziowi. W czwartym kwartale jako premia bezpłatne będą dodane do „Wieczorów” 1) jedna gra towarzyska, wykonana kolorowo, 2) zbiór ciekawych łamigłówek do nagrody i 3) piękna starodawna kolenda w układzie znanego muzyka p. W. Rzepki.

Odpowiedzi działu zadaniowego.

Trafne rozwiązania zadań z ostatnich numerów nadesłali następujący czytelnicy i czytelniczki: Ańdzia L., Leśna Poziomka, Przyszły Handlowiec, Czwartoklasista i Mania Nojkowska.

Ańdzi L. Szkoda, że dla rozwiązania łamigłówek niszczysz numery „Wieczorów”, to przecież niezbyt wielka praca łamigłówkę przerysować lub przepisać, a numery „Wieczorów” zebrane w porządku i oprawione pod koniec roku mogłabyś zostawić dla swego młodszego rodzeństwa lub też ofiarować jakim biednym dzieciom, których rodzice nie mają na prenumeratę pism. Może ci to na myśl nie przyszło! Pamiętaj więc o tej naszej życzliwej uwadze i nie niszczy numerów pisma wycinaniem łamigłówek.

Białemu krukowi. Szarada bardzo dobra, wkrótce będzie drukowana.

OGŁOSZENIA.

WYSZEDŁ Z DRUKU

Praktyczny wykład nauki pisania
z odpowiednimi wzorami,

oparty na podstawie swobodnego ułożenia figury i ręki,
 ułożony przez **Maryę Szmidt**.

Skład główny w księgarni **Gebethnera i Wolffa**.

Do nabycia we wszystkich księgarniach, oraz główniejszych składach materiałów piśmiennych i u autorki, **Wspólna 36**.

Dla Dzieci.

Najpraktyczniejsze palta, sukienki, garnitury.
Najmocniejsze mundurki, fartuszki, pończoszki.
Wszelka bielizna. Garnitury do chrztu, wyprawki.

Trykotaże francuskie, chroniące od zaziębienia.

Obstalunki przyjmuje się ze swoich i powierzonych materiałów. Robota akurarna.

W magazynie **JANINY Mazowiecka 12.** 6—4

Biuro nauczycielskie
JAHÓŁKOWSKIEJ.Warszawa. **Marszałkowska Nr. 118.**

Poleca nauczycielki, bony, cudzoziemki.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. **4**, z przesyłką pocztową rub. **5** — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. **35**.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce — 15 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

TREŚĆ: Pożegnanie jaskółek, wiersz przez M. Gawalewicza (z ryc.) — Obrazy z dziejów piśmiennictwa polskiego. — Psie pole, powieść Włodzimierza Trąmpczyńskiego. — Matka Marcelina Darowska (z ryc.) — Na łasce oceanu. — Ze świata (z ryc. — Zdania i myśli. — Łamigłówki i rozwiązania. — Odpowiedzi redakcyi. — **Dodatek:** Dary, przełożyła z angielskiego M. G. (z ryc.) — Ptaki w kraju zimujące, wiersz przez A. Zielińską. — Moje opowiadania, przez Zofię Bukowiecką. Jaśniej w sercu, przez Józefę Grzmielewską. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Sewerka, powieść przez W. Marrené-Morzowską.

i Historia o rycerzu Percevalu i smutnej księżniczce Sygunie.

DARZY.

przełożyła z angielskiego
M. G.

(Dalszy ciąg).

Albo gdy mama zwróciła się ku schodom, żeby pójść do sypialnego pokoju i zdjąć tam kapelusz, ośm rąk uczepiło się jej w taki sposób, jakby miała tylko dwoje dzieci: Jagniątko — i jakiegoś ośmiorgiękiego potwora!



— Nie chodź na górę, mamusiu jedyna! — prosi Antea. — Pozwól mi zanieść i pochować twoje rzeczy.

— Albo mnie — dodał Cyryl.

— Chcemy, żebyś z nami poszła obejrzeć róże — proponował Robert.

— Ach! nie idź na górę, mamuniu! — błagała Antea.

— Co znowu, dzieci! — odpowiedziała z żywością matka. — Nie jestem jeszcze taka stara, żebym nie mogła rozebrać się na górze. Zresztą muszę umyć ręce, brudne z podróży.

I poszła na górę, a dzieci idąc za nią, spoglądały po sobie przerażone.

Matka zdjęła kapelusz — bardzo ładny kapelusz

z białymi różami i dużym piórem, a potem zbliżyła się do gotowalni aby uczesać swoje piękne włosy.

Stało się! Na gotowalni, pomiędzy miseczką do pierścionków a poduszką ze szpilkami, leżało pudełeczko z zielonej skóry. Matka otworzyła je.

— Ach! jaki śliczny! — zawołała.

W pudełku był pierścionek — szafir otoczony iskrzącymi brylantami.

— Skąd się to wzięło — zapytała kładąc go na palec, na który pasował doskonale. — Skąd to może być?

— Nie wiem — odpowiedziało każde z dzieci.

— Pewnie to ojciec kazał Marcie położyć — powiedziała mama. — Zejdę na dół i zapytam.

— Niech mnie mama pośle do niej — prosiła Antea, wiedząc, że Marta nie będzie mogła widzieć pierścionka.

Marta zapytana zaprzeczyła naturalnie, żeby miała kłaść jakikolwiek pierścionek, tak samo jak Eliza i kucharka.

Mama powróciła do sypialni bardzo zaciekawiona i rada z pierścionka. Ale gdy otworzyła szufladę w toalecie i znalazła w niej pudełko z drogocennym brylantowym naszyjnikiem, zaciekawiła się jeszcze więcej, ale była daleko mniej zadowolona. W szafie, na półce, kładąc kapelusz znalazła dyadem i kilka broszek, a resztę kosztowności w różnych innych miejscach w ciągu następnej pół godziny. Dzieci były coraz bardziej pomieszane, aż wreszcie Kizia zaczęła płakać.

Matka spojrzała na nią bacznie.



Marta zaczęła głośno szlochać.

— Kiziu! — zwróciła się do niej — pewna jestem, że ty coś wiesz o tem. Namyśl się, zanim zaczniesz mówić i mów prawdę!

— Znaleźliśmy... piaskoludka... samjada... — zaczęła bąkać Kizia.

— Proszę tylko nie mówić niedorzeczności! — powiedziała surowo matka.

— Kiziu, daj pokój! — przerwał Cyryl i zwrócił się z rozpaczą do matki.

— Mamo! nie widzieliśmy tych klejnotów! Ale złodzieje ukradli dziś w nocy wszystkie kosztowności lady Chittenden. Może to właśnie te kosztowności? Wszyscy odetchnęli. Ocaleni!

— Ale jakim sposobem mogły się tu dostać, i dlaczego? — pytała matka. — Przecież łatwiej i bezpieczniej byłoby dla złodziejów uciec z tem odrazu?

— Może — przekładał Cyryl — może... uważali, że lepiej poczekać do zachodu słońca... to jest do nocy chciałem powiedzieć... i potem dopiero uciekać... Nikt oprócz nas nie wiedział, że mama dziś wraca...

— Muszę natychmiast zawiadomić policję — powiedziała matka zaniepokojona. — O! jakbym chciała, żeby ojczyk tu był!

— A czy nie lepiej poczekać aż przyjedzie? — zapytał Robert, wiedząc, że ojczyk nie przyjedzie przed zachodem...

— Nie! nie — zawołała matka. — Nie chcę czekać ani chwili, mając to na sumieniu.

„To” oznaczało cały stos pudełek z klejnotami, leżący na łóżku. Dzieci pokładły pudełka do szafy, którą matka zamknęła, a potem zawołała Martę.

— Marto! — zapytała. — Czy był kto obcy w moim pokoju w czasie mojej nieobecności? Powiedz mi prawdę.

— Nikt proszę pani — odrzekła Marta. — To jest... chyba...

Umilkła.

— Powiedz wszystko! — przekładała jej pani łagodnie. Widzę, że ktoś był. Powiedz mi odrazu kto. Nie bój się, pewna jestem, że się to stało bez twojej wiedzy...

Marta zaczęła głośno szlochać.

— Chciałam pani właśnie dziś podziękować i od pierwszego odejść bo... bo idę za męż... za bardzo porządnego człowieka... On jest leśniczym, proszę pani, nie będę taila, a nazywa się Bal. Prawdę mówię tak samo, jak że tu stoje... Pani przyjechała tak nagle, bez zawiadomienia: więc on tak sobie, z dobrego serca, powiada: „Marto, moja kochana — prawda — (jak to często mówią mężczyźni), — nie mogę pa trzeć na to, że tak pracujesz... Marto, moja kochana, powiada — chcę ci pomódz w robocie!.. powiada — mam ręce nie dla kształtu... I pomógł mi przy myciu okien, ale z tamtej strony, ode dworu, a ja od pokoju, proszę pani! Żeby mnie Pan Bog skarał jeżeli mówię choć jedno słowo nieprawdy, proszę pani...

— Byłaś z nim ciągle razem? — badała pani.

— On był ode dworu a ja od pokoju, proszę

pani — powtórzyła Marta. — Na chwilę tylko szłam po kubek świeżej wody i po skórę do szczenia, którą ta śladra Eliza zrzuciła za magiel.

— To wystarcza — powiedziała pani. — Nie stem z ciebie zadowolona, Marto, ale powiedziała prawdę, a to zmniejsza twoją winę...

Po odejściu Marty dzieci otoczyły matkę.

— O! mamusiu najdroższa! — zawołała Antea — to nie Bal zrobił, doprawdy, że nie! On jest bardzo poczciwy, bardzo dobry, a wierny jak złoto. Nie pozwól, żeby policja wzięła go do więzienia, mamusiu jedyna! Nie pozwól! nie! nie!

(d. c. n.)

PTAKI W KRAJU ZIMOJĄCE.

5. Jemioluska.

Z dalekiej gdzieś północy wśród śnieżnej zamieci Gromadka drobnych ptasząt w nasze strony leci, Opuszczają pośpiesznie niegościnne kraje, Gdzie zimy biegunowej białe widmo wstaje. Spieszcie więc mili goście! droga ziemia nasza I was sercem przyjaznem do siebie zaprasza.

Oto już przyleciały i drzewa obsiadły, Jak gdyby barwne kwiaty na gałęziach spadły Bo mają nasi goście swe szaty godowe, Lisi kolpak Szamana *) ozdabia ich głowę, A na skrzydełkach szkarłat i złoto zmieszane, Lśniąc niby jedwabnemi niómy przetykane, I głosy ich tak płyną na powietrznej fali, Jak srebrzyste dzwoneczki, dźwięczące w oddali.

Przypatrzcie im się dzieci! krótka ich gościna, Przed wiosną im odlotu wybija godzina. Kiedy słońce cieplejsze wyśle nam promienie Ulecą śliczne ptaszki, jak senne marzenie. Niech więc lecąc z powrotem posłowie skrzydlaci Zniosą pozdrowienie dla naszych współbraci, Którzy pracując na chleb w odległej krainie, Myślą o oddaloney, a wiernej rodzinie.

A. Zielińska.

Zofia Bukowiecka.

MOJE OPOWIADANIA.

(Dalszy ciąg).



Teraz kolej na dostojników, to jest mądrych i bogatych panów. Dostawali od króla wielkie obszary ziemi, ale nie uprawiali jej sami, bo nie mieli na to czasu, tylko trzymali czeladź, która siała i orała pola. Zwano ich zazwyczaj szlachtą, od pięknych szlachetnych czynów, nosili zbroje i na zbrojach znaki czyli herby, po tych znakach poznawali się w bitwie, takie znaki wyciśnięte na pieczęci służyły im za podpis, gdyż pisać nie umieli.

To był drugi stan.

Po dostojnikach szli rycerze szeregowi, czyli drugą zyną królewską, zawsze gotowa sięść na koń i pędzić

*) Szaman, kapłan i wróżbita ludów Syberyjskich.

gdzie monarcha rozkaże; monarcha też żywił ich, odziewał i obdarzał kawalkiem ziemi, której także nie uprawiali sami, tylko niewolnicy przyprowadzeni z wojny, wojna bogaciła ich, bo przywozili z niej łupy, na wojnie też dostawali od króla herby za męstwo i wtedy wyrastali na dostojników.

To był trzeci stan.

Po rycerzach szli kmiecie, tak nazywano osadników ziemian, którzy własnymi rękami orali rolę, płacili dziesięcinę monarsze lub biskupowi, ale mogli się przenosić z miejsca na miejsce, bo uważano ich za ludzi wolnych.

To był czwarty stan.

A teraz o największych biedakach wspomnieć muszę, o jeńcach przyprowadzonych z wojen. Ludzi za owych czasów było mało, zatem jeńiec, czyli niewolnik wielkim był bogactwem rycerza; czeladź niewolna uprawiała grunta panów i nie mogła ich opuścić, a panowie uważali ją za swą własność. Tak wtedy działo się w całej Europie, ale działo niesprawiedliwie, gdyż człowiek nie ma prawa zmuszać bliźniego do służenia sobie, jak służy koń lub wół. W tem właśnie jest postęp, że dziś to rozumiemy, a za Bolesława nie rozumiał tego nikt i uważano jeńców za niewolników. Niewolnikami byli też żydzi, których w tym czasie przyszło do nas bardzo wielu z południa, gdzie rycerze krzyżowi mścili się na nich niesłusznie za śmierć Chrystusa. Czładek niewolna, to był piąty stan. Z tych pięciu składał się naród, a wszystkie pięć trzymał w garść ścisnięte wódz i sędzia, król Piast. Był on panem całego obszaru ziemi, o ile nie darował jej kościołom, dostojnikom i rycerzom, panem ludzi, których wedle woli i sprawiedliwości wywyższał lub strącał. Krzywousty, jak jego poprzednicy, uważał cały kraj za swoją własność, to też umierając, podzielił go między synów, jak dzieli ojciec dziedzictwo, jak gospodarz rolę dzieci obdarza.

Koniec rozdziału XIII-go.

JASNIEJ W SERCU.

Mamo — rzekła pewnego zimnego jesiennego dnia Adelcia, — czy widzisz, po drugiej stronie ulicy tę małą dziewczynkę?

Rzeczywiście, na przeciwległym chodniku stała ośmioletnia może dziewczynka, ubogo ubrana. W rękę trzymała koszyczek a w nim trochę kwiatów. Kwiaty te miała na sprzedaż. Dziewczynka drżała z zimna a może i z głodu, lecz nie śmiała przybliżyć się do przechodniów z prośbą o kupienie kwiatów.

— Proszę mamusi, ułożyliśmy sobie z Heniem, żeby zawołać tę biedną dziewczynkę, dać jej jeść i ciepłe ubranie. Czy mama pozwoli?

— Dobrze, moje dziecko, w tej chwili poślę Maryannę, żeby ją przyprowadziła.

Adelcia i Henio ogromnie się z tego ucieszyli, bo im

żał było tej biednej dziewczynki, która chociaż tak mała a już cierpiała z zimna i głodu.

— Mamusiu — zawołał Henio — ja jej dam moją kawę z podwieczorku.

— I ja także — dodała Adelka — ale oprócz tego mamusia pozwoli, że jej dam jaką moją sukienkę.

— A ja dam moje palto — zawołał Henio, nie chcąc pozostać za siostrą.

— Zobaczmy! — rzekła mama z uśmiechem.

Ale w tej chwili od przedpokoju otworzyły się drzwi, i ukazała się ta sama dziewczynka, bardzo zmieszana, i zawstydzona.

Adelcia i Henio zaczęli rozmawiać z nią, wypytywać się, kto jest jej mama i dlaczego ona stoi całymi dniami na ulicy.

Dziewczynka ośmieliła się trochę i opowiedziała, że mama jej jest biedną wdową-szwaczką i mieszka w domu naprzeciwko, a ona chcąc pomódz matce, sprzedaje kwiaty.

— Jak ci na imię? — zapytał Henio.

— Antosia — odpowiedziała dziewczynka.

Niedługo wszystkich troje wezwano na podwieczorek. Antosia, chociaż jeszcze trochę się wstydziała, jadła z apetytem, bo była bardzo głodna. Potem mama zawołała ją do drugiego pokoju i przebrała w ubranie Adelki.

Gdy Antosia ukazała się, dzieci z radością klasnęły w dłonie.

— Teraz już nie będzie ci zimno — wołał Henio.

— Chodź, pokażemy ci nasze zabawki — dodała Adelcia.

Zaprowadzili Antosię do kącika, gdzie na półce kładli zwykle swoje zabawki. Henio wyjął dużą książkę z obrazkami i pokazywał je dziewczynce.

— Przeczytaj Antosiu, co tu jest podpisane.

— Kiedy ja nie umiem czytać — odparła.

— Nie umiesz, to ja będę cię uczyła — rzekła Adelka.

Wzięła elementarz i wskazywała jej litery, ucząc je wymawiać. Przy literach były obrazki. Antosia pytała, co one znaczą a dzieci objaśniały ją.

W ten sposób zeszło im przyjemnie parę godzin. Ale Antosia przypomniała sobie, że jej mama pewnie niespokojna jest o nią i powiedziała ze smutkiem, że musi już odejść.

— Ale jutro przyjdiesz, prawda? — zapytała Adelcia — mamusiu, czy mamusia pozwoli, żeby Antosia przychodziła do nas, to będę ją uczyła czytać.

— I owszem, moje dziecko, z największą przyjemnością pozwalam — rzekła mama — a tutaj Antosiu, w koszyczku jedzenie dla twojej mamy, bo i ona pewnie głodna i powiedz jej, żeby przyszła do mnie, to dam jej robotę.

Antosia uradowana ucałowała rękę mamy Adelci i pobiegła do domu, a dzieci uczyły, że w ich serduszkach jakby się coś rozjaśniło.

Józefa Grzmielewska.

ZADANIE KONIKOWE.

ułożył Kazio z Niepokojszcyc.

star	*	no
pol	*	Kon
*	ty	*

Z podanych sylab ułożyć należy nazwę miasta i powiedzieć gdzie to miasto się znajduje.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 39-go.

Łamigłówki kropkowanej:

Świtez tam jasne rozprzestrzenia łona,
W wielkiego kształcie obwodu,
Gęstą po bokach puszczą oczerniona,
A gładka, jak szyba lodu.

Jeżeli nocną przybliżyysz się dołą
I zwrócisz ku wodom lice,
Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą
I dwa obaczysz księżycy.

Zagadki ludowej: Cegła.

Skrzynka do listów.

Najprzód tobie, **Niedźwiedziu**, dziś pierwszemu odpisuję, abyś nie mrucał i wybaczył, jeśli późno odbierasz odpowiedź. Marki zużyte oddaje redakcja Koloniom Letnim. Łamigłówki układają o ile czas pozwoli, za to poświęć więcej czasu na obszernie listy do Jaskółki. Będą one zawsze mile witane, a tobie dadzą sposobność ćwiczenia się w pisaniu listów w języku rodzinnym.

Ostrożnie z wyścigami, **Winczu i Dobku**, miła to rzecz pędzić cwałem po równej drodze, ale po roli i ścierniskach to mniej bezpiecznie, chyba że rumaki mają w istocie nogi, jak stal.

Winszuję ci **Czarnobrewo**, winszuję i cieszę się razem z tobą, że zdałaś egzamin, a pewna jestem, że nauka dobrze ci pójdzie, kiedy z taką ochotą zabierasz się do niej. Brakujący numer „Wieczorów” redakcja posłałaby ci chętnie, ale nie podałaś nazwiska i adresu.

Wodna Lilijka boi się nagany? a za co? Napisałaś króciutko, ale bardzo starannie, więc Jaskółka się cieszy, że jej nowe piskłę przybywa i czeka nowego listu.

Leśna poziomka w przysłanej poprzednio karcie obiecywała pisać często i długo, a dziś przysłała znów kartę, w której tylko pyta, czy mi się przedstawiony na niej widoczek podoba. Widok ładny, ale lepiej podobałby mi się dłuższy list od ciebie.

Wy naprawdę, **Marylko Dadzibożko i Halszko**, chcecie fotografii Jaskółki w Wieczorach? To taki znany ptaszek! Każda z was wie, jakie ma piórka, jaki dzióbek i pazurki, portret jej nie powie wam więcej. Ja za to dodam tylko tyle, że prócz tego ma serce, do którego radaby przytulić wszystkie dzieci naszej ziemi, że je wszystkie kocha serdecznie, że do końca życia pragnie dla nich świergotać. Niech wam to wystarczy; jaskółka to ptaszek płochliwy, ciekawość wystraszy ją może.

A teraz „wyciągam pazurek” do **Mili z nad Drwęcy**, do **Ligii i Marychny S.** z Mazowieckiej. To nowe kore-

spondentki, z którymi Jaskółka bardzo pragnie zaznajomić się bliżej i czeka na dłuższe listy wasze. Marychna z nich najmłodsza, zaledwie niedawno zaczęła się uczyć i pierwszy list sama do Jaskółki napisała, a jednak dłuższy niż **Leśnej Poziomki**, która tylko po kilka słów zawsze na karcie pisze a co gorsza, że niestarannie. Popraw się, Poziomeczko, i daj dowód, że i ty ładnie i długo pisać możesz.

Winszuję ci, **Bławatku z Rokitna**, małego braciszka i cieszę się razem z tobą przyjazdem ukochanej przez ciebie nauczycielki. Wdzięczne serce, to wielka ozdoba ludzkiej duszy, więc Jaskółka rada, że je w tobie widzi. Biała Kotka zmieniła pseudonim na Jasną Noc, może dla tego nie znajdujesz dla niej odpowiedzi. Myślę, że mały Adaś zdrow już zupełnie, bo odra to nie groźna choroba, a dobry Bławatek cieszy się tem pewno.

Czy Jaskółka tak mało budzi zaufania, że koleżanka twoja, **Nido**, wstydzi się do niej napisać? Razem mieszkacie, razem się uczycie, Jaskółka z radością razem główki wasze skrzydełkami utuli, a może kiedyś później życie wam się tak ułoży, że razem także już nietylko dla siebie, ale dla innych pracować będziecie. Czytałam dużo o owej metalowej wystawie, o której wspominasz i bardzo żałuję, że nie mogłam jej widzieć i korespondentom moim o niej opowiedzieć.

Spieszę, **Wielkopolanko**, spieszę z odpowiedzią, żeby cię ona jeszcze w Splawiu zastała, bo choć dla ptaków, dla uczu przestrzenie maleją, zawsze bliżej do ciebie teraz, niż będzie za tydzień. Niedługo już pobyt twój w Belgii, i tam nieraz Jaskółka sercem podąży do ciebie gotowa, a potem cieszyć się będzie serdecznie powrotem twoim.

W imieniu małych sierotek dziękuję ci, **Kurplanko**, i siostrzyczce twojej za uszyte koszulki, bez względu na to, czy bielizna szyta z nowego perkalu czy starego płótna. Pytasz w ostatnim liście o wirujące stoliki. Trudna na to odpowiedź. Jest duży zakres zjawisk objętych ogólnie nazwą medyumizmu, które jednak naukowo nie są jeszcze dostatecznie zbadane, dla tego nie można dotąd mówić o nich stanowczo. Ostrzegam cię jednak, że te wirujące stoliki są najczęściej sprytnie wykonanymi figlami, na które łapią się łatwowierni; radziłabym ci więc stolika o nie nie pytać, bo odpowie ci pewno nie tajemnicza „Alfa”, ale sprytny braciszek lub ktokolwiek inny, który umie dobrze wystukiwać odpowiedź nóżką stolika, a potem potrafi lepiej jeszcze pożartować z siostrzyczki, że się na to złapać dała. Wrózkę szczęścia dobrze pamiętam z dawnych lat i dziś tulę serdecznie, chociaż już w świat wyfrunęła.

Jaskółka.

Wymiana kart pocztowych.

(Za pozwoleniem rodziców lub opiekunów.)

Pani Marcinowska dla Laszki (p. Kazimierz Lub. Janowice) pragnie zamieniać pocztówki z Kurpianką, Sarenką modrooką i Świtezianką.

Janina Pęska (Warszawa, Żórawia Nr. 18 m. 18) pragnie korespondować z Kulką Swid...

OFIARY:

Dla biednych dzieci: zebrane na loteryi przez dzieci z Hołowaniewska rub. 5 kop. 80.

Na przytulek św. Zofii: Fabianna, Elżbieta, Emeryk i Wojciech Czapscy rub. 1. — Zosia Mańkowska rub. 1. — Aleksander Mańkowski rub. 10. — S. L. rub. 2.

Marysienka S., Izia J., Manusia M., Zochna J. sukienki, spodniczki, fartuszki i koszulki.